Opłata ryczałtem. CENA 40 GR.

RACJONALISTA

MIESIĘCZNIK

ORGAN WARSZAWSKIEGO KOŁA INTELEKTUALISTÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ

ROK IV. WARSZAWA — LIPIEC Nr. 7

Myśl Wolna nie jest doktryną, jest metodą swobodnego myślenia.
F. Buisson: Deklaracja Myśli Wolnej.

JÓZEF LANDAU

Wolą zwierzęta.

Stare, jak człowiek — (a może — jak świat?) wierzenie: pokrewieństwo dusz ludzkich i zwierzęcych. W zamierzchłej starożytności wierzenie to opierało się na zasadzie wspólności wszelkich tworów: dusze ludzkie po śmierci wędrowały, wcielały się w innych ludzi lub w zwierzęta. Celem tej wędrówki miało być oczyszczenie duszy, lub też kara za grzechy. Wierzyli w metempsychozę kapłani egipscy; nauczali o niej Pherecydes i Pytagoras, Platon i Plotin; uznawali ją talmudyści i gnostycy, braminiści, buddyści i manichejczycy; każdy pojmował tę naukę po swojemu, przystosowywał do swego poglądu na świat i życie, odrzucał to, co mu się wydawało przesądem lub bajką. Ale z tak lub inaczej pojmowanej wiary zawsze wypływało pojęcie wspólności z całym światem zwierzęcym, a nawet roślinnym.

Materjalizm pozbawił duszy i ludzi i zwierzęta, ale natomiast odkrył między nimi tem bliższe pokrewieństwo ciał: wspólne pochodzenie. Już nie dusza człowieka oczyszcza się w wilku lub w sępie, ale człowiek sam był niegdyś rybą, płazem, lemurem. I mogła już powstać kwestja: czy człowiek jest udoskonaloną małpą, czy też małpa jest zdegenerowanym człowiekiem. A był i taki filozof, który z dużą dozą prawdopodo-

bieństwa twierdził, że człowiek jest zwyrodniałą małpą.

Neo-mistycyzm, oparty o cały gmach nowoczesnej wiedzy, nie zapiera się również pokrewieństwa z t. zw. niższemi tworami. Odrzucając wiarę w degradację duszy ludzkiej przez wcielenie w osobowość zwierzęcia, przyjmuje jednak rozwój duszy niższej w formy wyższe, czyli metempsychozę tylko w jednym kierunku: wzwyż. Nieskończona droga doskonalenia się ducha — od ameby do boga.

Nie wchodząc w rozbiór tych najróżnorodniejszych pojęć, stwierdzić tylko chcę w tej chwili, że przez cały ciąg rozwoju człowieczeństwa istniało i istnieje poczucie wspólności całego żyjącego świata — solidarność przejawów życia na naszym globie.

Nie przeszkadzało to bynajmniej nigdy, aby stworzenia silniejsze (niekoniecznie — wyższe w rozwoju) zabijały i zjadały stworzenia słabsze (bynajmniej nie niższe w rozwoju). Czyniły to zwierzęta mięsożerne w stosunku do trawożernych, ptaki w stosunku do owadów, węże w stosunku do kręgowców, ludzie w stosunku do wszelkich zwierząt jadalnych i w stosunku do innych ludzi. Dopóki kultura techniczna stała o tyle nisko, że byt jednostki, czy plemienia, zależał od wyników codziennego polowania, sprawa była zupełnie jasna i prosta: aby ktoś mógł żyć, ktoś musiał zginąć. Natura wyposażyła swych pupilów w zęby, pazury, rogi lub dzioby, albo też w skrzydła i szybkie nogi dla umożliwienia ucieczki. Życie zależało wyłącznie od umiejętności mordowania lub unikania mordercy. W tych warunkach nie mogło być i nie było mowy o jakiembądź uczuciu przywiązania lub litości jednego stworzenia do drugiego — z odmiennego gatunku.

Sentymentalizm zjawia się w plemieniu ludzkiem dopiero z chwilą, gdy człowiek począł przyswajać zwierzęta. Krowa lub owca, które go karmią swem mlekiem, pies, który mu pomaga na polowaniu, koń, który go nosi na swym grzbiecie — stają się przyjaciółmi człowieka. Utylitaryzm rodzi uczucie wtórne przywiązania. Raz poruszona struna sentymentalizmu w dalszym rozwoju pojęć wytwarza poczucie wspólności — naprzód ze zwierzętami, z któremi człowiek współżyje, później z temi, które podziwia (totemizm), a wreszcie — z całym światem żyjącym.

Człowiek pierwotny nie widzi — i słusznie — wielkiej różnicy między sobą a innemi zwierzętami; przyznaje im rozum i potęgę, czasem większe, niż sobie samemu. Murzyni twierdzą, że goryl jest mądrzejszy od człowieka, a nie mówi tylko dlatego, że nie chce pracować. Stąd ubóstwianie niektórych wybranych zwierząt. Dopiero kultura techniczna uczy człowieka poczucia wyższości i wraża mu pojęcie odrębności. Dalszym etapem tego rozwoju jest megalomańskie przyznanie

sobie wyłączności posiadania duszy, której się zwierzętom odmawia, dając im wzamian instynkt. Tworzą się religje, oparte na przekonaniu o bezwzględnej „różności“ stworzeń; niektóre religje odmawiają duszy nietylko zwierzętom, lecz nawet samicom gatunku ludzkiego.

W tem stadjum rozwoju spółżycia stosunek ludzi do zwierząt układa się poraz drugi w sposób niezmiernie prosty: pozbawienie życia stworzenia, nie posiadającego duszy, nie może być przestępstwem z żadnego punktu widzenia. Zadawanie zwierzęciu cierpień lub śmierci nie nosi żadnej cechy ujemnej. Sentyment dla poszczególnych osobników świata zwierzęcego jest uczuciem czysto indywidualnem, jednostkowem. I obecnie podobne osobiste uczucia odgrywają dużą rolę w życiu jednostek. Kocha się swego psa (można innych nie cierpieć), swego kanarka, swego konia, nawet swoją myszkę, którą się karmi. Słynną jest historją owego więźnia, który przyswoił sobie w celi pająka, do którego się serdecznie przywiązał.

Kilkadziesiąt lat temu powstał w świecie kulturalnym ruch, który możnaby nazwać panteizmem sentymentalnym. Syty, zabezpieczony od napaści, (prócz wojen między ludźmi) człowiek, odczuwa nagle wielkie przywiązanie do zwierząt, których zresztą coraz mniej widzi i z któremi coraz mniej się styka. Uczuciowe jednostki, prawie wyłącznie mieszkańcy miast, głoszą prawo zwierząt do opieki i miłości ze strony społeczeństwa ludzkiego. Już nie totemizm, nie wiara w wędrówkę dusz, a poprostu sentymentalizm, dochodzący często do dziwactwa, dyktuje przeczuloym mieszczuchom jakiś wręcz niezdrowy kult zwierząt. Truizmy w rodzaju: pies jest najlepszym przyjacielem człowieka, zwierzę jest więcej warte, niż człowiek, nie wolno odbierać życia żadnemu stworzeniu bożemu i t. p., stają się kanonami religji. Z sukursem rozczulonemu jaroszowi spieszy z jednej strony „wiedza stosowana“, głosząc zbyteczność a nawet szkodliwość pokarmów mięsnych dla organizmu ludzkiego, z drugiej strony — egzotyczna mistyka, twierdząca, że wraz z mięsem zwierząt dostaje się do ciała człowieka „niższy duch“, szkodliwie wpływający na rozwój i doskonalenie się duszy mędrca.

Niestety jednak — jarstwo w jego czystej formie bardzo słabo przyjmuje się wśród ludzi. Ciało, które — jak twierdzi Nietsche, jest o wiele mędrsze od duszy, buntuje się skutecznie przeciwko podobnej djecie. Życie człowieka wymaga ofiar zwierzęcych. Można pokarmy mięsne ograniczyć, niepodobna ich wygraniczyć bez szkody dla organizmu. Naturalnie — nie mówię tu o jednostkach, lecz o ogóle.

Na tle tej rozbieżności między wymogami życia a abstrakcyjnemi teorjami mistyków sentymentalizmu powstają sytuacje czasem wręcz komiczne. Wrodzona człowiekowi skłon-

ność do przesady nasuwa mu coraz dalsze konsekwencje, doprowadzając czasem do zupełnego absurdu. Przywiązanie indywidualne do jednego stworzenia rozszerza się na ogół zwierząt, przyjaźń z własnym psem przemienia się w miłość dla wszystkich „młodszych braci“. Ale mięso jest jednak potrzebne, zjada się je więc, maskując sentymentalny protest nieświadomością pochodzenia potrawy. Tkliwa gosposia nie przełknęłaby potrawki z własnego kurczęcia, tem mniej jeszcze zdobyłaby się na zarżnięcie go, sprzedaje je więc sąsiadce, a sama spożywa spokojnie mięso zakupionego na targu ptaka. Domorosły prorok pisze filipikę przeciw wiwisekcji, o której znaczeniu przeważnie ma bardzo słabe pojęcie, a potem pożywia się pulardą z kapłona lub udkiem tuczonej gęsi, nie chcąc wcale badać, jakie męki przeszły te stworzenia, zanim się na jego stół dostały.

Stowarzyszenia przyjaciół zwierząt, rozciągając swe przyjazne uczucia na ogół mieszkańców świata, z wyłączeniem ludzi, mają nieraz ciężkie dylematy do rozwiązania: czy truć myszy, aby nie pustoszyły śpiżarni, czy też wystrzelać koty, aby nie zjadały niewinnych myszek? Czy bronić owieczki przed jastrzębiem, czy jastrzębia przed myśliwym? To nie są tylko żarty; zagadnienie sprowadza się konsekwentnie do jednego pytania: czy wtrącać się do stosunków między zwierzętami, opartych stale na mordzie i przelewie krwi, czy też pozostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi? W pierwszym przypadku wpada się w stek niekonsekwencyj i śmiesznych przeciwieństw, w drugim — staje się zupełnie zbytecznym teoretykiem nielogicznych ideałów.

Wybujały sentymentalizm znalazł wyjście: bierze w obronę zwierzęta tylko wobec ludzi. Ale czyni to często w sposób przesadny, przejaskrawiony. Roztaczając opiekę nad zwierzęciem, zapomina o człowieku. Buduje się przytuliska i szpitale dla psów i kotów, a bezdomni i chorzy ludzie giną w opuszczeniu i upośledzeniu. Powtarzam, że jeśli chodzi o sentyment osobisty, o przywiązanie indywidualne, to sprawa nie podlega krytyce. Sportsman, dający łaskawy chleb wyranżerowanemu koniowi, stara panna, przelewająca swe niewyczerpane uczucie na dychawicznego buldoga lub angorskiego kota — to zjawiska naturalne i zrozumiałe. Ale generalizowanie podobnych uczuć jednostkowych, czynienie z nich idei społecznej, wzywanie ogółu do poświęceń i pracy dla dobra stworzeń niższych — to śmieszna przesada, na którą mogłoby sobie pozwolić tylko tak bogate społeczeństwo, w którem byt jednostki ludzkiej byłby całkowicie zabezpieczony. A i wtedy jeszcze wartoby wpierw rozejrzeć się, czy na szerokim świecie gdzieś stworzenia ludzkie nie żyją w głodzie i upodleniu.

Pomysły tych mizantropów, wierzących raczej w dosko-

nałą duszę zwierzęcia, bywają czasem wręcz okrutne w swej ironji. Wspomniałem już o kampanji anti-wiwisekcyjnej: niech raczej giną ludzie od syfilisu, raka, ospy i innych chorób, niżby się miała stać krzywda niewinnym królikom lub świnkom morskim. Obecnie propaguje się tworzenia schronisk dla „wiekowych“ zwierząt domowych — widocznie wszyscy starcy z gatunku „homo sapiens“ już mają zapewnioną opiekę do śmierci. Żąda się surowych kar dla ludzi, przeciążających pracą zwierzęta, — widocznie prawodawstwa wszystkich krajów już dostatecznie zabezpieczyły ludzi przed wyzyskiem ze strony innych ludzi. Słowem — sentymentalna przesada, która w człowieku, trzeźwo patrzącym na niedomagania społeczne ludzkie, musi budzić niesmak i niechęć.

Najsilniejszy argument, przemawiający za troskliwą opieką nad zwierzętami — to bezsprzecznie — dodatni wpływ na charakter człowieka, jaki wywiera uczucie dla słabszych stworzen. Łagodzi ono surowość i okrucieństwo, z jakiem człowiek traktuje wogóle swych bliźnich, uczy pobłażliwości, wyrozumiałości i innych podobnie dodatnich, a w współżyciu społecznem niezbędnych odczuć. Nie mam zamiaru temu przeczyć. Ale przykrem jest niezmiernie, że tak dobrotliwie odnosi się do zwierząt człowiek, który w stosunku do innych ludzi zapomina o wszelkiej łagodności i wszelkiej dobroci. Homo homini lupus...

Wiem, że słowa moje urażą niejednego przyjaciela zwierząt. Pragnąłbym jednak, by w oburzeniu swem nie zapomnieli, że nie jest wrogiem zwierząt ten, kto czuje większe przywązanie do ludzi. Zresztą — chętnie wysłuchałbym dowodzeń przeciwnych, które i dla ogółu nie mogą być obojętne.

STEFAN KAWYN

Pamięci Edwarda Abramowskiego.

Zmarł piętnaście lat temu w czerwcowy odwieczerz. Ale od kilku miesięcy padały nań już cienie śmierci. Tem silniej przeto, tem żywiej jakiemś nieprzełomionem prawem życia budziły się wspomnienia pachnące różami i jaśminem. Stawał w pamięci dom rodzinny, Stefanin, rzucony daleko na Ukrainie, dom wielkich marzeń światoburczych, do ukojenia po klęskach życia. W wizjach ostatnich dni przychodziła matka, jakże podobna do tych matek myślicieli, poetów: św. Augustyna, Kochanowskiego, Słowackiego, stawała u wezgłowia

i szeptała: „Chodź miły mój, teraz ci spokój dam. Spokój i życia blask i tęsknotę nasycę, i nie będziesz już sam... Rozdzieliło nas życie, udana życia gra, łączy nas śmierć ze sobą. Śmierć i Matka Twa — To jedno — to Ja...“

Przebiegał siłą pamięci krótkie swe życie i prace, podsycane tęsknotą do wolności człowieka, do wolności narodu, do braterstwa pomiędzy ludźmi. Ideałom tym złożył całopalnie ofiarę ze swego serca, umysłu, ducha, z każdego niemal kroku swego zewnętrznego nawet życia. Jeszcze kiedy przebywał zagranicą w Genewie, starał się w życie wprowadzić ideał wspólnoty braterskiej, „komuny duchowej“, organizacyj, opartych bądźto o podstawy materjalne bądź też zespolonych jednym duchem etycznym. Miały one prowadzić do rewolucji moralnej, miały stwarzać nowe pojęcia, budzić sumienia, kształcić je, tworzyć nowych ludzi.

Później z tych drobnych komórek braterstwa i miłości, skąd wygnano krzywdę i wyzysk, tyranję, niewolę wewnętrzną i smutek życia, wyrastają „Związki Przyjaźni“. Powoływał je do życia, by dać wyraz potrzebie wcielania wewnętrznych utajonych wizyj w czyn, tworzenia świata naokoło siebie, rozprzestrzeniania się jednej duszy ludzkiej na całą masę innych.

Czynił to, namiętnie wierząc, że wychowanie człowieka w wolności, przyjaźni, braterstwie jest pierwszym krokiem do odzyskania niepodległości narodu, do przebudowy społecznej na zasadach sprawiedliwości i miłości. Wierzył w to tak żarliwie, jak wszyscy wodzowie pokolenia Polski niepodległej: Świętochowski, Brzozowski, Żeromski i Piłsudski.

W pierwszych niemal dniach wojny widział stającą się historycznie Polskę, gdy pisał: „Zorza, jaka idzie ku nam, zorza odradzającej się ojczyzny, powinna zastać nowych ludzi, oczyszczonych z samolubstwa, wychowanych w braterstwie.“ Wypowiedział więc walkę zaciętą egoizmowi, wszczepionemu już człowiekowi w dzieciństwie a następnie hodowanemu przez wychowanie w kierunku współzawodnictwa, walki o byt, korzenia się przed potęgą pieniądza i kapitału. Hodowli egoizmu przeciwstawił szkołę przyjaźni, „ognisko, któreby w ludziach od dzieciństwa rozwijało przyjaźń, uczyło jej praktycznie, wpajało niepostrzeżenie, ale też mocno, iżby to uczucie wsiąkało w krew człowieka, stawało się jego własną naturą.“ A przechodząc od jednostki do szerszych kręgów zbiorowości, rozumiał wartość przyjaźni dla życia narodu i pisał: „Naród, w którym uczucia przyjaźni są rozwinięte, gdzie zmaiast sobkowstwa i egoizmu panuje przyrodzona potrzeba wzajemnej pomocy, bezinteresownego wspomagania się na wszystkich polach życia, — naród taki znalazł już moc niezwyciężoną, rozwiązał zagadkę wolności i dobrobytu.“

Widział wielką odnowę życia ludzkiego, idącą od „Zwią-

zków Przyjaźni", kooperacji i „komun braterskich". Widział wyłaniającą się z nich nową etykę opartą na solidarności, nową moralność, „w której jedyną cnotą i obowiązkiem jest braterstwo ludzi, jedynym grzechem krzywda ludzka", moralność, według której wszystko wolno robić, o ile krzywdy w tem niema. Znikają w obliczu tych jasnych prawd doktrynerskie poglądy, dogmatyczne, katechizmowe pojęcia o złem i dobrem, o moralnem i niemoralnem. Płynie stąd swoboda życia, pełnego twórczych czynów, życia wolnego od poziomych tendencyj utylitarystycznych, życia, którego celem jest szczęście człowieka i społeczeństwa.

Tak odnowioną Polskę pragnął widzieć Abramowski. Gdy myślał o niej i pisał, budziły się w nim uczucia niezwykłej ekstazy i mistycznego uniesienia. Marzył o Polsce w historycznych wymiarach geograficznych, marzył o „Związku Rycerzy Polskich", który miał wychować typ rycerza walczącego o wyzwolenie polityczne, społeczne i moralne, pisał modlitwy dla żołnierzy polskich. Jakimś instynktem niknącego coraz bardziej życia chciał przyśpieszyć dzień odrodzenia ojczyzny, chciał widzieć zrodzone z nowego sumienia nowe życie społeczne, nowe formy, nowy ustrój i państwo. W przededniu niemal zgasł, spalił się cały, dnia 21 czerwca 1918 roku w Warszawie, do ostatniego tchu skazany na tęsknotę do niepodległości ojczyzny.

JAN NOWICZ

Źródło „niedowiarstwa" i „niewiary"

Uwagi poniższe są odpowiedzią na artykuł „Źródła bezbożnictwa" w jednym z naszych dzienników konserwatywnych. Autor artykułu nawołuje do walki z szerzącymi się wpływami ateizmu i projektuje założenie pisma, któreby omawiało sprawy religijne a było przeznaczone dla naszej inteligencji katolickiej. Źródło niewiary widzi autor w warunkach dnia dzisiejszego: w rozluźnieniu się więzów rodziny, w demoralizacji publicznej, wywierającej swój wpływ na młodzież, w zmaterjalizowaniu społeczeństwa, we wpływach prądów racjonalistycznych, wreszcie

w agitacji bolszewickiej wśród naszego nauczycielstwa.

Wśród naszej inteligencji dają się odróżnić dwa rodzaje religijności: bywa albo konwencjonalnie zewnętrzna, niezbyt szczera i mniej lub więcej podminowana sceptycyzmem (według księżowskiego wyrażenia „letnia") albo ślepa i bezkrytyczna, trzymająca się oburącz sutanny („gorąca" — reprezentowana n. p. przez sodalicję.) Dla obu tych typów umysłowości zagadnienia reilgijne właściwie nie istnieją. Dla pierwszych przez ich indyferentyzm, dla drugich przez ich dogmatyzm, prowadzący do bezmyślności (Myśleć to wątpić a wątpić to grzeszyć). Wszelkie rozważania na tematy religijne nawet gorliwi katolicy spychają na księży, sami zaś ograniczają się do „zajmowania katolickiego stanowiska" w różnych sprawach bieżących. Czasopisma katolickiego, przeznaczonego dla ogółu inteligencji a omawiającego zagadnienia religijne, niema u nas prawdopodobnie dlatego, że nasi katolicy nie odczuwają jego potrzeby. „Przegląd powszechny" wystarcza oświeceńszym księżom a „Rycerze" i „Dzwonki" wystarczają szerokim rzeszom wiernych. Nasza świecka inteligencja katolicka, nawet typu dość wojowniczego w stosunku do „wrogów wiary" wywiązuje się ze swojego zadania, prenumerując dziennik o kierunku klerykalnym, gdzie klerykalna tendencja uważa się za wystarczającą „obronę religji" a treść wierzeń pozostaje na uboczu, jako coś co nie nadaje się do dyskusji. Taki jest u nas ogólny stan rzeczy. Rzadko spotykają się ludzie wierzący a jednak dalecy od klerykalnej bierności umysłowej, inteligentni i wykształceni. Niektórzy z nich zajmują wybitne stanowisko w naszej nauce i literaturze. Stanowią oni zagadkę trudną do rozwiązania. Pozostaje zawsze rzeczą niezrozumiałą, jak oni mogą uznawać pewne artykuły wiary, które odpowiadały umysłowości wieków dawno minionych, ale są rażąco sprzeczne z dzisiejszą. To ich osobista tajemnica.

Główna przyczyna t. zw. „niewiary" tkwi głęboko w świecie naszych pojęć i wyobrażeń. Jest nią rozbieżność sposobu myślenia dzisiejszego europejczyka z drogami myśli ludzkiej w owych czasach, kiedy nasza religja ukształtowała się i osiągnęła szczyt wpływu na ludzi; kiedy z roku na rok oczekiwano sądu ostatecznego; kiedy prowadzono wojny religijne; kiedy w każdym fakcie naturalnym widziano palec Boga albo pazur djabła; kiedy piekła i djabłów bano się panicznie a ich domniemanych pomocników i pomocnice żywcem palono (co oczywiście nie sprzeciwiało się miłości bliźniego). Oba te światy myślowe — dzisiejszy i średniowieczny tak są z sobą sprzeczne, że pomimo całej zręczności dzisiejszych teologów, nie dają się połączyć w harmonijną całość. Trudno byłoby kopyto djabła i skrzydło anioła włączyć do anatomji porównawczej i niemniej bywa trudno człowiekowi współczesnemu zaapro-

bować inkwizycję albo absurdalne legendy żydowskie uznać za prawdy objawione.

Na inowierców i na heretyków patrzymy dzisiaj innemi oczami niż wówczas kiedy piekło uznano za najwłaściwsze dla nich miejsce zamieszkania po śmierci. Przeznaczenie do piekła ogółu niekatolików (chociażby nawet z licznemi ułaskawieniami) było pomysłem godnym samego Belzebuba. Dzięki Bogu ten pomysł dogmatyczny traci już dzisiaj swoje groźne oblicze i staje się tylko osobliwym zabytkiem dawnego fanatyzmu, który nadaje się raczej, jako potworek, do gablotki muzealnej niż do walki z herezją i inowierstwem, co było pierwotnem jego przeznaczeniem. Zamiast przerażać kogo potrzeba, żenuje on teraz każdego kulturalnego katolika, o ile ten nie zatracił rozsądku. Pomimo to dzisiejszy katolik, jeżeli chce być w zgodzie z Kościołem, nie może rozstać się ze swoim przekonaniowym potworkiem, którego odziedziczył po fanatycznych przodkach, inaczej stanie się niedowiarkiem i wejdzie na śliską drogę, która może go zaprowadzić dalej niżby on tego chciał. [1])

Nasza „historja święta starego testamentu" obfituje na każdym kroku w takie naiwności i dziwolągi, że w naszych czasach rozwinięty chłopiec szkolny powinienby się obrazić na katechetę za to, że mu podobne brednie do głowy wkłada. [2]) Myślę, że już danoby temu spokój i to bez niczyjej krzywdy, ale cała bieda polega na tem, że stary testament jest nierozerwalnie związany z nowym. Gdyby Adam nie zjadł owego fatalnego jabłka, Syn Boży nie zeszedłby na ziemię i nie zostałby ukrzyżowany. To jabłko nietyle zaciążyło na losach rodu ludzkiego ile dzisiaj ono ciąży na naszej umysłowości. Gdyby nie ono — możeby różne historje ze starego testamentu były już bez zastrzeżeń włożone między bajki. Sądzę, że to byłoby nawet Kościołowi na rękę, bo w ten sposób usuniętoby jedną z przyczyn „niedowiarstwa", widać jednak, że to jest niemożliwe, skoro dotychczas tego nie zrobiono.

Kamieniem węgielnym naszej religji jest męczeństwo Chrystusa dla odkupienia rodu ludzkiego. Trudno orzec co w tej nauce św. Pawła o odkupieniu przeważa — wzniosłość ofiary czy okrucieństwo jej wymagania. Żadne teologiczne spekulacje nie zdołają zatrzeć tej prawdy, że poniesienie kary za innych nie może być wymogiem sprawiedliwości (nawet ludzkiej a tembardziej boskiej). Sędzia, któryby w naszych czasach wymagał ofiary z życia człowieka niewinnego dla uwolnienia od kary kogokolwiek, byłby natychmiast złożony z urzędu i skierowany do psychjatry dla zbadania jego choroby umysłowej. Podobny wyrok, przypisywany Bogu jako sędziemu, nie uważa się jednak za bluźnierstwo, przeciwnie — jest artykułem naszej wiary. Nasze pojęcia o boskiej sprawiedliwości, nie mogąc nadążyć za postępem sprawiedliwości

ludzkiej, stały się jej zaprzeczeniem i dzisiaj mamy do wyboru: albo odrzucić nasze własne pojęcie o sprawiedliwości jako omamienia szatańskie, albo odrzucić obowiązujące nas wyobrażenia o wyrokach boskich — o karze spadłej na cały rodzaj ludzki za grzech Adama i Ewy, o męce Chrystusa dla zadośćuczynienia boskiej sprawiedliwości i o piekle dla tych, których nie ochrzczono albo którzy umarli bez rozgrzeszenia.

Mówiąc o przyczynach dzisiejszego „niedowiarstwa" nie można pominąć wspomnień historycznych o inkwizycji. Jeżeli inkwizycja utrwaliła w pewnych krajach katolicyzm, to z drugiej strony ponure jej dzieje nie przysparzają mu dzisiaj przyjaciół a czasami odpychają od niego nawet katolików. Zasługuje na uwagę, że w tamtych czasach bojaźni bożej święci chrześcijańscy sąsiadowali o miedzę z okrutnikami, którzy w straszliwy sposób katowali i uśmiercali swoje ofiary a jednak o jakichkolwiek zatargach między świętymi a katami inkwizycji, historja nic nie mówi. Ten fakt z przeszłości może nasunąć prawowiernemu katolikowi, który zastanawia się nad tem w co wierzy, następujące refleksje: „Widocznie siła wyższa nie oświeciła świętych Pańskich natyle, aby oni zrozumieli, że torturowanie i palenie ludzi za ich przekonania — to były ciężkie winy wobec Boga i bliźnich. Dziwna rzecz, że to światło, tak wówczas potrzebne, zeszło na ludzi nie przez świętych i innych naszych przewodników duchowych ale dopiero później — przez heretyków i bezbożników! Zaszedł w dziejach fakt dla nas niezrozumiały, że brak wiary odsłonił przed ludźmi prawdę moralną, która była niedostępna dla prawowiernych i miłujących Boga. Trudno zrozumieć, jak mogli święci Pańscy i świątobliwi dostojnicy Kościoła nie widzieć ciężkich przewinień, popełnianych za ich czasów w imię Boga a więc świętokradzko. Pomimo daru łaski Bożej byli oni jednak ślepi na zło inkwizycji, tak widoczne i niewątpliwe nawet dla nas, zwykłych grzeszników. A może tamto straszliwe torturowanie i palenie ludzi — to nie były grzechy ale akty wiary i pobożności, a więc zasługi przed Panem Bogiem? W takim razie powinniśmy nasze dzisiejsze pojęcia o sprawiedliwości odrzucić jako błędne i grzeszne a powrócić do średniowiecznego sposobu widzenia rzeczy. Przecież święci Pańscy nie mogli aprobować niesprawiedliwych sądów i wyroków albo odnosić się do nich z obojętnością. Widocznie były one jednak z wyższego stanowiska słuszne i sprawiedliwe, wbrew naszym dzisiejszym humanitarnym pojęciom i wbrew głosowi naszego sumienia, które wzdraga się uznać, że tak należało postępować z odstępcami od nauki Kościoła. Czyżby również nieomylni sternicy nawy piotrowej mogli przez kilka wieków patronować inkwizycji, zwanej nawet świętą, gdyby jej czyny były godne potępienia i sprzeczne z zasadami naszej wiary?" Nie wątpię, że w teologji znajdzie

się przemyślny sposób rozwiązania tego dylematu, przytoczyłem jednak powyższe rozumowanie jako przykład do jakiej plątaniny myślowej musi dojść wierzący a przytem myślący katolik przez to, że wtłoczono mu do głowy pojęcia wzajemnie się wykluczające. Jeżeli on przytem nie jest dostatecznie uodporniony fanatyzmem, musi dojść do rozterki i towarzyszącego jej „niedowiarstwa" po którem naturalną koleją rzeczy przychodzi zdecydowana niewiara.

Przytoczyłem niektóre wypadki ostrej kolizji pewnych pojęć religijnych, przekazanych nam przez średniowiecze, ze zwykłym w naszych czasach sposobem myślenia i odczuwania. Takich przykładów możnaby przytoczyć więcej ale i te wystarczą. Może mnie jednak spotkać taka replika: „Pańska krytyka ma charakter dyletancki. Nie zna pan apologetyki katolickiej i nie wie pan o tem, że ma ona na podobne zarzuty, skierowane przeciw prawdom naszej wiary, takie odpowiedzi: co do pierwszego zarzutu...., co do drugiego zarzutu... i t. d. Otóż wiem, że na wszelką krytykę teologja ma w pogotowiu obronę. Wiem, że w swoich dowodach djalektycznych jest ona wszechmocna i gdyby wyższe względy wymagały dowodu 2×2=5, to i onby się prawdopodobnie znalazł.[4]) Któż nie wie o tem, że scholastyka (ancilla theologiae) wędrowała po wertepach logomachji z taką swobodą, jakgdyby to był bity gościniec. Byłbym bardzo lekkomyślny, gdybym na tym gruncie polemicznym chociażby jednym krokiem stąpił. Przewróciłbym się haniebnie. Nie chodzi mi o takie lub inne argumenty formalne przeciwko pewnym twierdzeniom teologicznym lub w ich obronie, ale o wskazanie (tylko dla przypomnienia, bo są to rzeczy znane) tych czynników, których naturalnym skutkiem bywa zachwianie się wiary a o kawałek drogi dalej — „niewiara" jawna lub ukryta. Te czynniki będą działały na ludzi różnego poziomu (nietylko na „półinteligentów") tak długo, jak długo będą trwały anachronizmy wyznaniowe.

Ogólny wzrost racjonalizmu w dobie powojennej, rozluźnienie się życia rodzinnego, różne wpływy oddziaływające na nasze nauczycielstwo i t. d. — mogą to być okoliczności sprzyjające krzewieniu się jawnej lub częściej ukrytej bezwyznaniowości, nie wyjaśniają one jednak zasadniczej przyczyny tego prądu umysłowego. Aby ją sobie bezstronnie uświadomić, trzeba wziąć pod uwagę charakter naszych pojęć religijnych w stosunku do naszego sposobu myślenia we wszystkich innych dziedzinach.

Przeszłość nasuwa pod tym względem poważne wątpliwości. Jeżeli nawet przypuścić, że dawniejsze groźne zboczenia chrystjanizmu w kierunku okrucieństwa i nienawiści bliźniego już się więcej nie powtórzą, to i tak trudno oczekiwać spełnienia się nadziei dzisiejszych gorliwych chrześcijan.

Trudno oczekiwać od religji dzisiejszej, która utraciła już lwią część swoich wpływów na ludzi, by osiągnęła niepomiernie więcej, niż zdołała osiągnąć w owych czasach, kiedy była u zenitu tych wpływów. Religijne odrodzenie się ludzkości daje się pomyśleć chyba tylko w tym wypadku, jeżeli nastąpi odrodzenie się samej religji — a na to, pomimo różnych usiłowań, jakoś się nie zanosi.

---

1) Pytanie jak ma zachować się wierzący katolik wobec sceptyka, który z powodu swego dogmatycznego potworka zapyta: „Jak można w coś podobnego wierzyć?" Ponieważ bronić potworka trudno, więc najlepszem wyjściem z kłopotliwej sytuacji jest takie: zakwestjonować jego istnienie albo powiedzieć wprost, że go niema (wbrew wyraźnemu znaczeniu słów: „Poza Kościołem Katolickim nie może być zbawienia." Zdaje się, że z tego wyjścia wielu korzysta a kto wie czy i teologja nie pójdzie z czasem w ich ślady. Skłonności w tym kierunku są niewątpliwe, ale, jak dotychczas, przeszłość krępuje i nie pozwala wyrzucić niedogodnego potworka do rupieciarni.

2) Aby nie być gołosłownym muszę przypomnieć rzeczy znane: historję stworzenia świata, w której roi się od absurdów (n.p. stworzenie najpierw ziemi i roślin a potem dopiero słońca razem z księżycem); stworzenie Ewy z adamowego żebra; ukaranie węża niedawaniem mu nóg; powstanie języków w roli przeszkody przy budowaniu wieży aż do nieba; pływająca menażerja (300 łokci długości i 50 łokci szerokości), w której były wszystkie zwierzęta świata, spędzone tam przez jedną rodzinę (o owadach, których jest paręset tysięcy gatunków, Noe zapomniał a jednak one jakimś cudem ocalały) i t. d., i t. d.

Na zapytanie jak można wierzyć w podobne niedorzeczności niegdyś groził sąd inkwizycji, dzisiaj Kościół rezygnuje już częściowo z tych ośmieszających go prawd dziejowych i możemy otrzymać odpowiedź kompromisową: „Nasze wyznanie nie wymaga abyśmy wierzyli tym opowiadaniom w ich dosłownem znaczeniu. To są alegorje, wyrażające pewne prawdy objawione". Wolnoby zapytać skąd o tem teologowie wiedzą? Czy mieli na ten temat jakieś wyjaśnienie z nieba? Powyższa koncesja teologiczna na rzecz współczesności jest to wycofanie się z bezsensu bardziej widocznego aby go zamienić bezsensem mniej widocznym. Jest to również porzucenie zbyt już dzisiaj sztucznej naiwności aby zająć pozycję wykrętną. Człowiekowi nieuprzedzonemu trudno pojąć czemu do legend żydowskich powinno się przykładać inną miarkę niż do legend wszystkich innych narodów. Czemu jedne tylko legendy żydowskie muszą być uznane za objawienia nadprzyrodzone, podczas kiedy wszystkim innym ten przywilej nie przysługuje. W tej doktrynie wyjątkowości legend żydowskich kryje się żydowskie nacjonalistyczne zaślepienie, do którego i my uważamy za swój obowiązek przyłączyć się. Na tym punkcie nawet najskrajniejszy klerykalny antysemita jest nieświadomie żydow-

skim fanatykiem. Jest żydowskim prozelitą, ale tylko jedną nogą. Jest „żydowskim pachołkiem”, ale tylko w pewnej dziedzinie wierzeń.

4) Jeżeli ktoś uważa to zdanie za przesadne, niech sobie przypomni dwa twierdzenia teologiczne: 1+1+1=1 (dogmat Trójcy św.) oraz: 1+1+1+1 ... =1 (dogmat eucharystji).

Odgłosy.

Znany i ceniony pisarz, p. Hulka Laskowski rzucił w numerze kwietniowym „Pielgrzyma Polskiego“ myśl wytworzenia organizacji dla walki z klerykalizmem. Nazywa się to: koncentracja frontu antyklerykalnego. Do organizacji, zdaniem projektodawcy, powinny przystąpić wszystkie żywioły postępowe w Polsce; chodziłoby w pierwszej linji o wydawnictwo, miesięcznik lub tygodnik, może nawet w przyszłości — dziennik, któryby mógł przeciwstawić się prasie klerykalnej powagą swych prac źródłowych. P. Hulka-Laskowski stwierdza, że pisma podobnych pomniejszych jest cały szereg, lecz nie docierają one do szerokiej publiczności, natomiast organ wielki, wspólny, miałby o wiele szerszy zakres działania. Gdyby nawet to się okazało zbyt trudne, to jeszcze wszystkie istniejące już pisma mogłyby utworzyć wspólny front ideowy (który nie wyłączałby autonomji każdego z nich). Chodziłoby więc w danym wypadku o pewien rodzaju współpracy ideowej, może o coś w rodzaju centralnej agencji, któraby przekazywała odpowiednie artykuły poszczególnym perjodykom.

Myśl, zdawałoby się, w zasadzie piękna. Gdy jednak zastanawiam się nad jej wykonaniem, ogrania mnie zwątpienie. Gorzej jeszcze, to, co na pierwszy rzut oka wydało mi się jasnem i wyraźnem, stało się po chwili zagadkowem i ciemnem. Kto ma przystąpić do utworzenia „frontu antyklerykalnego“? Wszyscy nie — rzymscy katolicy. A więc metodyści z „Pielgrzymem Polskim“, ewangelicy ze „Zwiastunem Ewangelicznym“, marjawici z „Królestwem Bożem na ziemi“, badacze Pisma Świętego ze „Złotym Wiekiem“, i t. d., i t. d.

Jakżeż tu i w jakim punkcie zespolić dążenia tak heterogenicznych elementów? Co ci wszyscy sekciarze mają wspólnego? Tylko jedno: obronę przed napastliwością sekty rzymsko-katolickiej. Ale czyż te wszystkie inne sekty są wolne od klerykalizmu? Czy nie mają swego własnego kleru, uparcie i zawistnie broniącego swych własnych dogmatów? Czy ewangelicy zrzekną się walki o dwupostaciową komunję? Czy duchowni badaczy Pisma Świętego zrzeszą się ideowo z grupą, któraby wyśmiała grzech pierworodny? Cy kler metodystów pogodzi się z teorją ewolucji, wbrew twierdzeniom biblji? Na

wszystkie te pytania możemy zgóry dać odpowiedź przeczącą, a więc o jakiejbądź wspólności ideowej, zdaniem naszem, nie może być mowy.

To, co p. Hulka-Laskowski nazwał „frontem antyklerykalnym“, mogłoby się stać conajwyżej „frontem anty-rzymsko-katolickim“, co zresztą odpowiadałoby cytowanemu powyżej zastrzeżeniu (który nie wyłączałby autonomji każdego z nich). Ale wtedy cały ten ruch wspólny zwęziłby się, spłyciał. Rozumiemy dobrze konieczność łączenia się zagrożonych grup dla wspólnej obrony przed silnym wrogiem, ale tego rodzaju akcja nie jest konsolidacją, to jest tylko taktyka — najczęściej zawodna. Tak łączą się we Francji komuniści z monarchistami dla walki z republiką demokratyczną, tak łączyli się w Niemczech hugenberczycy z hitlerowcami dla obalenia rządu socjalistycznego, tak u nas łączą się socjaliści z narodową demokracją dla zwalczania bloku rządowego. Czy to jest wspólny front ideowy?

Ale i wspólny front anti-katolicki też miałby u nas swoją rację bytu. Tylko — czy jest możliwy? Niestety — wątpię. Mam już doświadczenie. Przed kilku laty z inicjatywy księdza Piechocińskiego z Kościoła Narodowego utworzył się „Komitet obrony sumienia“, do którego przystąpili przedstawiciele różnych sekt chrześcijańskich, z wyłączeniem, naturalnie, sekty watykańskiej. Komitet zaprosił też i Stowarzyszenie Wolnomyślicieli Polskich. Jako jeden z delegatów S. W. P. brałem udział w zebraniach Komitetu. Byłem nawet autorem deklaracji, przyjętej przez zebranie. Na wielkim wiecu, zwołanym przez połączone zbory sekciarskie, przemawiał członek zarządu S.W.P., ob. J Sołtys, którego mowa przyjęta została z wielkim aplauzem. Wśród rozmaitych księży i duchownych — przemawiałem i ja, wyrażając obawę, czy walczące obecnie o wolność sumienia prześladowane w Polsce kościoły — nie zaczną ze swojej strony prześladować inowierców z chwilą, gdy uda im się dojść do władzy. Po onem słynnem zebraniu S. W. P. zyskało kilku nowych członków zpomiędzy zebranych sekciarzy, ale też akcja na tem utknęła. Zdaje się, że przedstawiciele kościołów nie-katolickich doszli do przekonania, że na wspólnej pracy z logicznymi wolnomyślicielami mogą tylko stracić, a nie zyskać, bo więcej nas na żadne zebranie nie proszono.

Bo trzeba zrozumieć, że żadna sekta kościelna nie może brać poważnego udziału w akcji anti-klerykalnej — to byłoby samobójstwo. A przy froncie wyraźnie tylko „anti-katolickim“ musi się rozwinąć fanatyzm wyznaniowy anti-rzymski, co — prędzej czy później — znów musi doprowadzić do pokłócenia

niejednorodnych cząstek, skupiających się mechanicznie pod jednym sztandarem.

Aut-aut. Albo się jest wierzącym kościelnikiem, a wtedy nie można być antyklerykałem, albo się nim jest naprawdę, a wtedy z logiki rzeczy staje się wolnomyślicielem — i przeciwnikiem wszystkich sekt, nietylko jednej watykańskiej.

ZASIĘGI KLERYKALIZMU w POLSCE POWOJENNEJ.

Pod powyższym tytułem wygłosił Henryk Ułaszyn, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, odczyt w Towarzystwie Filaretów w Warszawie. Odczyt ten, powtórzony jeszcze kilkakrotnie w Poznaniu, obecnie został wydany w oddzielnej książeczce nakładem Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Niewielka to, lecz pełna treści książeczka. Autor z wielką znajomością rzeczy i z właściwym sobie temperamentem wykazuje rozbieżność dążeń kościoła rzymsko-katolickiego z rzeczywistemi interesami państwowemi Polski. Stojąc wyłącznie na gruncie obrony praw suwerennych państwa, p. Ułaszyn dowodzi na całym szeregu faktów, popartych jasnemi dokumentami i argumentami, że działalność kleru w Polsce idzie po linji wręcz wrogiej władzy państwowej i sprzeciwia się naszej konstytucji i naszym prawom. Opracowanie materjału musiało być, ze względu na czas trwania odczytu, nieco ograniczone, ale zestawienie faktów i wywody logiczne autora stoją na bardzo wysokim poziomie i nadają całej książeczce dużą wartość dokumentalną.

Słowo wstępne Z. P. M. D. jest napisane mocno. Niezmiernie to dla nas pocieszający objaw, że Młodzież Demokratyczna tak jasno zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa klerykalizmu w Polsce i tak niedwuznacznie i ostro mu się przeciwstawia. Od ciemnego tła umysłowości akademików, zgrupowanych w sodalicjach i partjach narodowych, odbijają ci młodzi demokraci prawdziwym słonecznym promieniem.

Książeczka jest do nabycia we wszystkich księgarniach w cenie zł. 1.— za egzemplarz. Gorąco ją polecamy naszym czytelnikom.

I jeszcze słówko: na zasadzie błędnie zrozumianego listu p. p. Szulkina i Burdeckiego, ogłoszonego w jednem z pism stołecznych, prasa klerykalna postawiła prof. Ułaszynowi, jako członkowi Koła Intelektualistów P. Z. M. W. zarzut dogmatyzmu i partyjności. Wydana obecnie książeczka jest najlepszym dowodem fałszywości zarzutów Kapry. Żałować tylko

należy, że pismo postępowe i stojące na gruncie pracy państwowej dało się tak łatwo w błąd wprowadzić i umieściło wzmiankowany list, nie zbadawszy uprzednio, jakie rzeczywiste przyczyny zmusiły autorów jego do usunięcia się z zarządów Polskiego Związku Myśli Wolnej.

J. L.

Do naszych prenumeratorów

Pismo nasze utrzymuje się wyłącznie z wpływów z prenumeraty i nie ma żadnych innych źródeł dochodu. Nakład pisma ustalamy zgodnie z zamówieniami, wpływającemi od czytelników. Ci zatem prenumeratorzy, którzy zalegają z opłatą, narażają nas na zbyteczny koszt bicia większej ilości egzemplarzy. Prosimy więc o niewłoczne uregulowanie zaległości i uprzedzamy, że prenumeratorom, zalegającym z opłatą za rok bieżący, zostanie wstrzymana wysyłka numeru sierpniowego.

ADMINISTRACJA.

PRENUMERATA „RACJONALISTY":

rocznie	zł. 4.—	numer pojedyńczy	40. gr.
kwartalnie	„ 1.—	zagranicą dol. 1.—	rocznie

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, ul. Poznańska 14 m. 19, tel. 9.26-55. P.K.O. 13214

REDAKTOR i WYDAWCA — JÓZEF LANDAU.

Skład: „Zjednoczeni Drukarze" Elektoralna 15. Druk.: „Grafja".